

ŚWIAT dzieci

DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU

Wielki przyjaciel dzieci

Był ktoś, kto jak nikt inny rozumiał dzieci. I grzeczne i niegrzeczne, i młodzież. I tych potulnych, cichych, małowymownych — i tych nieznośnych, rozhakanych, krnąbrnych. Ktoś, kto tylko przypadkiem był dorosłym. Był to łysy pan z małą brodką, który rzadko się uśmiechał. Ale gdy uśmiechał się czasem — był to chyba najpromienniejszy uśmiech pod słońcem. Nazywał się Janusz Korczak. Założył on internaty dla dzieci: w Pruszkowie i na Bielanach dla dzieci polskich, na Krochmalnej — dla dzieci żydowskich. Janusz Korczak był Żydem. Kiedy Niemcy zamknęli Żydów w getcie, pozostał on w swoim Domu Sierot na ulicy Krochmalnej. I razem ze swoimi dziećmi poszedł na śmierć — poszedł dobrowolnie, chociaż miał możliwość się uratować. Nie chciał opuścić jednak swoich wychowanków w obliczu śmierci i zginął razem z nimi.



Janusz Korczak wśród swoich wychowanków

JANUSZ KORCZAK

Sprawa o gniazdo, o żabę, o kąpiel.

Daj nos, Dajnowski

Zgadnijcie, ile spraw rozpatrywał sąd kolonii Wilhelmówki w ciągu dwóch sezonów.

Czterdzieści trzy sprawy.

Okropnie dużo. Jeśli jednak zważyć, że dwoje dzieci bawiąc się w pokoju potrafi często w ciągu godziny pięć razy pokłócić się, poskarżyć mamie, znów pogodzić i znów pokłócić, to dla 150 chłopców na wsi w ciągu czterech tygodni i znów 120 w ciągu następnych czterech — ta ilość spraw sądowych nie jest zbyt wielka.

— A wyroki? — Najwyższa kara: 20 minut kłęczenia — tylko dwóch chłopców dotknęła...

Heż to razy zdawało się, że chłopiec bardzo zawinił; a kiedy sąd wniknął we wszystkie szczegóły — wina stawała się mniejszą, małą, maleńką.

P. starszy, S. i B.*) zniszczyli gniazdo ptasie. — W gniazdku było pięć jajek.

Zrabowane gniazdo oskarżeni sami rozebrali i obliczyli, że było w nim: 73 piórka, 280 słomek, 246 ździebeł kory brzo-

zowej, 148 włosów końskich. — Heż to pracy drobnej, słabej ptaszyny poszło na marne. — A te jajeczka małe, też to dzieci ptasząt. — Dom zrujnowany, dzieci zabite!

Oskarżyciel żądał najsurowszej kary, ale głos zabrał obrońca:

— Sędziowie, spójrzcie na oskarżonych. Jeden z nich płacze, jeden siedzi smutny, a jeśli trzeci się śmieje, to dlatego tylko, by ukryć swój smutek. — Sędziowie, czy by oni popełnili czyn tak zły i niemądry, gdyby wiedzieli to, co teraz wiedzą?

Długo mówił i tymi słowami zakończył obrońca:

— Sędziowie, zapewniam was: że gdyby ten ptaszek był tu obecny, mógłby do was przemówić — na pewno tak by powiedział: „chłopcy wyrządzili mi wielką, wielką krzywdę, ale przebaccie im, bo kara ani nam chatki naszej nie wróci, ani nie wskrzesi nam dzieci. Poproście jednak, aby tego nigdy nie robili, bo i my mamy serca, które umieją kochać i przebaczać“. Sędziowie, nie bądźcie gorsi od małej ptaszyny.

Wyrok w dosłownym brzmieniu głosi:

„Dnia 5 lipca, w piątek, po podwieczorku, sąd kolonii, złożony z sędziów: Tarkowskiego z grupy A, Holca z gr. B, Antczaka z gr. C, Faszczewskiego z grupy E — rozpatrywał sprawę o zniszczenie gniazda ptasiego przez: P., S. i B. Wszyscy przyznali się dobrowolnie do winy.

Sąd biorąc pod uwagę, że:

1. zniszczono gniazdko po raz pierwszy,

2. zrobiono to nie w złej myśli, nie w celu skrzywdzenia bezbronnego i niewinnego ptaszka,

3. winni nie wykręcali się, nie kłamali, a od razu i wyraźnie wszystko opowiedzieli —

sąd biorąc to pod uwagę, postanowił:

„B. i P. starszy jeść będą dziś kolację osobno“.

Dalej Sąd, uznając udział S. w zniszczeniu gniazda za niedowiedziony i wzdając żal jego, postanowił:

„S. przebaczyć“...

Gorsza była następna sprawa, a jakkolwiek i tu obrońca próbował choć w części usprawiedliwić oskarżonych, wyrok wypadł po myśli prokuratora:

„Tenże sąd na tymże posiedzeniu rozpatrywał sprawę o męczenie i zabicie żaby przez W. Sąd biorąc pod uwagę, że

1. W. chciał zobaczyć serce żaby, o którym w szkole opowiadał i na obrazku pokazywał w Warszawie nauczyciel,

2. W. jest pierwszy raz na kolonii i mógł nie wiedzieć, jak bardzo zabrania się tu męczenia zwierząt,

postanowił łagodnie ukarać oskarżonego.

Zważywszy jednak, ile bólu sprawę niewinnemu stworzeniu — wyznaczył karę: 10 minut kłęczenia“.

„Tenże sąd na tymże posiedzeniu rozpatrywał sprawę Z. oskarżonego o zabicie dwóch żab.

*) Autor podaje nazwiska w skróceniu, nie chcąc robić chłopcom przykrości, gdyby opowiadanie wpadło im w ręce.

WIOSSENKA



Już wiosenka,
jak piosenka,
szumi z wiatrem
u okienka:

— Te kwiateczki
w ciemnym lesie.
Któż do domu
je przyniesie?



— Ja przyniosę,
ja, wiosenkol
nazrywam je
szczodłą ręką.

Ponapełniam
nimi dzbany,
rozweleję
dom kochany.



KACIK ROZRYWKOWY

ZAGADKI

1. Poprzez wszystkie
dzionki w roku,
kroczy wiernie
przy twym boku.
Choćbyś szedł najdłużej,
nigdy się nie znuży,
czasem bywa mały,
a czasem znów długi.
2. Przybyła do nas cicha,
na skrzydłach nietoperzy,
(nikt tego nie zobaczy,
lecz chciejcie w to uwierzyć).
Płaszcz czarny roztoczyła
szeroko dookoła,
tysiącem złotych oczu
patrzy na miasta, sioła.
3. Takie objaśnienie
chyba wam wystarczy;
raz ma wygląd sierpa,
innym razem — tarczy.
Ta tarcza przed nikim
ciebie nie zasłoni,
tego sierpa nigdy
nie poczujesz w dłoni.

4. Czasem przed zimnem
chroni człowieka,
to znów go zdejmiesz
z kawy, lub mleka.
5. Bywa w kwiatki, bywa gładka,
ma ją matka i sąsiadka.
Zwykle ciepła jest i miękka,
spójrzj — pod nią śpi Jagienka.
6. Mięka, biała,
pełna pierza,
na niej smacznie
spać zamierzam.
7. Czasem mieszka w stole,
to znów w szafie mieszka,
w niej książki, bieliznę
układa Agnieszka.

PRZESTAWIANKA.

Hap, knol, zierbaw, nasztak, dołaj, akols,
opłota, rabzoz, nossza niesoj.

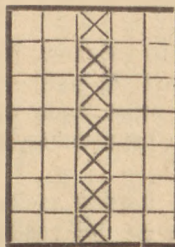
W każdym z powyższych wyrazów należy
poprzestawiać litery w ten sposób aby od-
czytać dziesięć nazw pospolitych u nas
drzew.

DOPELNIANKA.

W a
P ñ
K w
P w
Cz a
K e
L n
Ł ż
G a
T ñ
B cz
W w

Kropki zastąpcie literami
w ten sposób, by można
było odczytać dwanaście
nazw znanych miast pol-
skich.

ŁAMIGŁÓWKA.



W kratki prostoką-
ta wpiszcie sześć
pięcioliterowych wy-
razów. Litery w
kratkach, oznaczo-
nych krzyżykami,
odczytane z góry
na dół — dadzą roz-
wiązanie.

Znaczenie wyra-
zów:

Narzędzie, służące do ścinania drzew.
Pospolity ptak. Rzemieślnik. Inaczej mło-
dzież. Odznaczenie. Wierzbinowe kotki.

MARGINOWA

Ta kobieta, u której mama zawsze bierze mleko, zaproponowała, że weźmie Olka do siebie na wieś:

— Nie na długo, na tydzień. Dla mnie to drobnostka, jedna gęba więcej przy stole a dzieciak się poprawi i na czystym powietrzu będzie.

Mama długo się zastanawiała, radzili z ojcem, nawet do babci poszli, ale że Marcinową znali jeszcze sprzed wojny i wiedzieli, że to kobieta uczciwa i dziecku krzywdy nie zrobi, więc wreszcie zgodzili się tym bardziej, że Olek już nikomu spokoju nie dawał tak mu się ten projekt podobał.

Marcinowa włożyła do worka, w którym zawsze nosiła blaszanki z mlekiem, małeńkie zawiniątko przygotowane dla Olka na drogę i pojechali.

Z początku Olek był trochę rozczarowany. Cóż to za jazda? Parę stacji tylko i to nie prawdziwym pociągiem a wąskotorówką. Ledwie jednak wysiedli zapomniał o rozczarowaniu. Zaraz za budynkiem stacyjnym ciągnęła się droga szeroka i błotnista. Tą drogą poszli do wsi i Olek co krok zapadał to w kałużę to w bajorko.

— Boczkami idź, tu lepiej. Ej, tyś jeszcze niezwyčajny. Nic nie szkodzi, nauczysz się. Chata Marcinowej stała na samym końcu wsi i Olek porządnie napocił się nim wreszcie dobrnęli.

Ledwie weszli w obejście przywitał ich głośnym szczerkaniem i skomleniem wielki kudłaty pies na łańcuchu.

— Nie bój się go. To nasz Burek. Dobry stróż, ale swojemu nie złego nie zrobi.

I zmieniając temat zwróciła się do rumianej dziewczynki, stojącej po środku podwórka.

— Swiniś coś jeść? — Płynuj, żeby Kulaska znowu jajka nie zgubiła. A ja ci gościa przywiozłam z miasta. To moja Baśka — powiedziała do Olka. A starszy Jędrzek wróci w południe z krowami, to go poznasz.

Zaprowadziła chłopca do izby i zaraz mu dała gorącego mleka i chleba z miodem, sama zaś chwyciła stojącą w kącie siankę łopatę i skierowała się ku wyjściu.

— Pani wychodzi? — spytał Olek, wstając zza stołu.

Tak, u nas teraz robota. Ale ty siedź

sobie tutaj. Tyś za delikatny na naszą robotę.

Olek poczuł się tym obrażony. Cóż to on jakaś baba, czy co? Pokaże, że nie taki już jest „delikatny“.

— To może ja coś pomogę — powiedział, robiąc poważną minę, choć pojęcia nie miał w czym może pomóc.

Marcinowa pokręciła głową.

— Patrzcie go jaki. Ano, chodź. Nie zaszkodzi przypatrzeć się i nauczyć się.



Przeszli do sadu, gdzie Marcin kopał równiutkie, głębokie dolki. W kącie pod plotem leżało kilka małeńkich drzewek.

— Dobrze, żeś przyszła — rzekł nie odrywając się od roboty — sadzonek trochę kupiłem, a samemu sadzić nie sposób.

— A ja ci robotnika przyprowadziłam. Bardzo chętny do roboty. Tylko go trochę poducz.

— Ano, niech się uczy — rzekł Marcin. — Jak ci na imię? Aha, prawda, wiedziałem — Olek. Tak? No więc idź, weź sadzonkę i będziesz mi przytrzymywał. Tylko uważaj, żeby trzymać równo.

Olek aż się zasapał. Nie dlatego, że sadzonka była ciężka, ale z tej dumy, że go traktują jak prawdziwego robotnika.

Marcin nasypał do wykopanego dolka trochę jakiegoś proszku i powiedział: „O, tu, w dołek wióz to drzewko“.

— A co to za proszek?

— A o nawozach nie słyszałeś? To jest sztuczny nawóz.

Olek może i słyszał, ale zapomniał. Czy

to można wszystko pamiętać o czym się w szkole mówi. A tymczasem Marcin zasypując ostrożnie młode korzonki drzewka, mówił:

— Każde stworzenie, czy to zwierzę, czy człowiek, czy roślina, gdy młode — opieki potrzebuje. Tobie mama też lepiej jeść daje, niż starszym. My tę jabłonkę karmić musimy, żeby wyrosła w wielkie drzewo i jabłkami obrodziła.

Przywiązał posadzoną jabłonkę do słupka.

— To, żeby jej wiatr nie przewrócił. Małe te jeszcze i delikatne.

— A tej wielkiej już żaden wiatr nie przewróci — rzekł Olek, rad, że i on coś powiedzieć może. — Jej już nic złego się nie stanie.

— A mało to na nią wrogów czyha? W zimie — mróz, jesienią — wiatry, a latem i wiosną różne szkodniki. Ot, poczekaj. Zasadzimy wszystkie drzewka. Ile ich jeszcze zostało? Trzy? Widzisz, jak prędko poszło. No, więc zasadzimy wszystkie drzewka i pójdziemy pomóc coś tym staruchom, które gąsienice męczą.

— E, wy sobie tu dajecie radę beze mnie — wtrąciła Marcinowa. To ja pójdę obiad przygotować.

— A bo pewnie Chłopak do rzeczy, a robota nie trudna.

Gdy zostali sami, Olek był jeszcze bardziej dumny, niż przedtem. Czuł się tak, jakby był zupełnie dorosły. Razem z Marcinem bieł: jabłonie i grusze w starym sadzie, razem (a właściwie nie zupełnie razem, bo to już robił tylko Marcin, a Olek się przyglądał) przycinali gałązki — „wilki“. I ani się Apostrozęgli, jak nadeszło południe, i z domu doleciał ich głos Marcinowej.

— Ej, robotnicy, chodźcie już na obiad.

Jędrzek przygonił już krowy i też czekał na jedzenie. Spieszył się, bo razem z Baśką chodzili na drugą zmianę do szkoły.

— Kiedy skończymy budować tę wielką murowaną szkołę, wszyscy będziemy mogli uczyć się rano — wyjaśnił. A tymczasem to jeszcze tak na zmianę.

Marcinowa nałapała każdemu do miski gorącego żytniego barszczu ze skwarkami, a w drugiej misce postawiła dymiące ziemniaki.

Jeszcze nigdy żaden obiad tak Olkowi nie smakował. Ale bo też jeszcze nigdy tak się nie napracował, jak prawdziwy dorosły ogrodnik.

Aleksander Jurkowski

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Sąd biorąc pod uwagę, że Z. uczynił to bez żadnego powodu, gdyż nie można uważać za dostateczny powód, że żaby przstraszyły go podczas zbierania poziomka, postanowił ukarać Z. przez klęczenie w ciągu 20 minut.

Tym, którym wyrok ten może się wydawać zbyt surowy, sąd przypomina, jak bardzo cierpiał dręczony żaby.

Sąd przypomina z naciskiem, że nie wolno śmiać się z odbywających karę, a to pod grozą poniesienia kary podwójnej“.

Druga surowa kara dwudziestominutowego klęczenia przypadła w udziale Staśkowi, który stale się spóźniał, nigdy po trąbce nie przychodził z lasu i szukać go trzeba było zawsze.

Jedną tylko sprawą wyłączoną była spod władzy sądu koleżeńkiego i to rozpatrywał sąd złożony z dozorców.

Kilku chłopców poszło kąpać się w rze-

ce — jest to największe kolonijne przestępstwo.

Bo pomyślcie tylko: rodzice powierzają dziecko koloniom letnim; jeszcze w zimie pamiętać musieli, by iść do zapisu, potem do lekarskiego badania, a jeszcze metrykę trzeba było odszukać. Nie łatwo matce oderwać się od gospodarstwa, być do biura z odległej ulicy; a ile się natroskała: czy aby wysła, czy miejsc nie zabraknie, a może na próżno się trudzi?

— Po co tyle troski i zachodów? — Po to, by dziecko na wsi przyszło nieco do zdrowia.

I nagle matka otrzyma wiadomość, że syn się utopił w rzece! Taki wypadek miał raz miejsce, lat temu piętnaście, i od tej pory najsurowiej zabrania się dzieciom chodzić samym do rzeki.

Cóż z tego, że jeden z chłopców, którzy poszli się kąpać, pływa tak dobrze, że Wisłę tam i z powrotem przepłynie? Jeśli dziś jemu pozwolimy, to jutro wy-

mnienie jakiś niedolega, a o nieszczęście tak łatwo.

Dozorcy napisali do rodziców kartę tej treści:

„Niniejszym zawiadamiamy Sz. Pana, że syn Jego wydalit się samowolnie z kolonii i poszedł do kąpielii bez dozorczy. Prosimy o zawiadomienie, jak go za to ukarać. Rzeczka jest głęboka i za skutki podobnych wycieczek odpowiedzialności na siebie brać nie możemy.“

Dozorcy dzieci“.

Jednakże obiecaną chłopcom, że karty wysłane nie będą, jeśli dadzą wszyscy uroczyście zapewnienie, że do końca sezonu sami do kąpielii nie pójdą ani razu.

I do dziś dnia karty te leżą w mojej szufladce, zachowane na pamiątkę o pięciu dzielnych chłopcach, którzy mieli odwagę przyznać się do przewinienia i mieli taki hart ducha, że choć ich niecia rzeka, dotrzymali danego przyrzeczenia.

Wyrosną z nich dzielni ludzie!

(Wyjątek z książki pt. „Na koloniach letnich“)

Wiosna w klasie

Na dworze już wiosna. W południe słońce nawet tak dopieka, że jest zupełnie gorąco. Już gdzieś młoda trawa wygląda spod ziemi i pąki na drzewach zrobiły się duże i lepkie. Marysia idąc do szkoły widziała motyla, a Franek jakiegoś żuczka. Jednym słowem prawdziwa wiosna, co się zowie. Tylko w klasie było po dawnemu szaro i ponuro. W zimie jakoś wydawało się wszystkim, że klasa jest ładna. Ściany przecież były czyste i wisiały na nich obrazki i wycinanki. Ale teraz zrobiło się niemożliwie. Po prostu usiedzieć trudno.

— Och, kiedyż to już będzie po lekcjach — wzdycha Wanda, patrząc jak za oknem chwieje się na wietrze jakaś gałązka.

— Na wiosnę nie powinno się chodzić do szkoły. To nie ma najmniejszego sensu — decyduje Olek.

A Wanda po swojemu piszczy płaczącym głosem:

— Proszę pani, dla czego wszędzie już wiosna a u nas w szkole zima?

Pani z uśmiechem rozejrzała się po klasie.

— Tak, macie rację. U nas jeszcze sroga zima, jak w styczniu. Jakby tu temu zaradzić? A możebyśmy przynieśli sobie trochę tej wiosny do klasy?

— Jakże ją przynieść?

— Zaprosimy ją do siebie. Chcecie?

— E, pani żartuje, a nam doprawdy smutno.

— Wcale nie żartuję. Zaraz po lekcji pójdziemy uroczystie zaprosić wiosnę do klasy i zobaczycie, że na pewno przyjdzie.

Ledwie dzwonek zadzwonił wszyscy wybiegli na podwórze a Antek zaczął krzyżeć na cały głos:

— Pani wiosno, przyjdź do nas! Zapraszamy cię! Przyjdź!

— Cóż ty błaznujesz, jak małe dziecko — oburzył się Olek.

— Proszę pani, jak my tę wiosnę sprowadzimy do siebie?

— Ogródek w klasie założymy?

Pytania sypały się ze wszystkich stron.

— Ogródek jest przed szkołą, ale w klasie zrobimy sobie taki maleńki „miby ogródek“, żeby ciągle można było na nie-

go patrzeć i żeby było zielono.

Z komórki wyciągnęli jakieś stare skrzynki. Wojtek je ładnie gwoździami pozbił, kozłkiem ścianki oczyścił, że wyglądały prawie jak nowe. Reszta dzieci tymczasem w ogródku kopała tłustą czarną ziemię. Skrzynki umieścili na parapetach i drutem przymocowali, żeby ich wiatr nie postrzącał.

— A co będziemy tu siali?

— A cobyście chcieli?

Propozycji było tyle, że się o mało nie pokłócili. Wreszcie stanęło na tym, że w każdej skrzyneczce posieją co innego, żeby kwitło przez całą wiosnę. Więc w jednej powój, w drugiej stokrotki, w trzeciej bratki a w czwartej nasturcję, żeby gdy po wakacjach wrócą kwitła im jeszcze. Tylko z tymi stokrotkami i bratkami był kłopot, bo to przecież trzeba sadzić i flancować. Ale Witek powiedział, że już temu zaradzi, bo ma znajomego ogrodnika, który na pewno nie odmówi i da parę krzaczków.

I od tej pory, chociaż w skrzyneczkach tylko ziemia czarna była i ani jedno z zasianych ziarenek nie wykiełkowało jeszcze, zrobiło się w kla-

sie jakoś jaśniej i weselej.

A gdy Wojtek przyniósł jeszcze wielki słoć żabiego skrzeku, w klasie zrobiło się zupełnie jak na letnisku. Bo ten skrzek był jeszcze ciekawszy, niż kwiatki w skrzyneczkach. Codziennie się zmieniał. Najpierw były czarne okrągłe kropczki w galarecie, jakby ziarenka czarnuszki, potem zaczęły rosnać, potem z tych kropek zrobiły się maleńkie rogaliki a wreszcie pewnego dnia, te rogaliki machnęły ogonkami i zaczęły pływać.

— Kijanki! — krzyknął na cały głos Franek, który pierwszy to zauważył.

Każdy chciał sobie wybrać swoją własną kijankę i nawet już się zaczęli zakładać, czyja prędzej urośnie, ale nic z tego nie wyszło, bo te małe trzpioły takie były do siebie podobne, że ich nie można było rozróżnić.

Teraz już nikomu do głowy nie przyszło opuścić szkołę. Nawet spóźnień było mniej. Każdy przecież był ciekaw, i każdy chciał pierwszy zobaczyć jak ta klasowa wiosna rośnie i rozwija się.

Z. Kwiecińska



Z tego obrazu korzystamy w aparacie projekcyjnym i w kinie.

3) Jeżeli przedmiot jest między soczewką, a ogniskiem soczewki, widzimy obraz urojony, powiększony i prosty (nieodwrócony). Z obrazem takim mamy do czynienia wtedy, kiedy posługujemy się soczewką jako szkłem powiększającym czyli lupą.

Lupa może powiększać oglądane przedmioty dwa, trzy a nawet dziesięć razy.

Gdy te słowa napisał Franek, przyszło mu na myśl, że gdyby wziąć dwie soczewki, można by mieć większe powiększenie. Myślał o tym cały dzień, ale nie miał się kogo zapytać, bo Heniek wyjechał ze szkoły na wycieczkę. Zdecydował się wreszcie zwrócić się z tym do tej nauczycielki, co uczyła w 7-mej klasie przyrody.

„O z dwóch soczewek, to można już mikroskop zrobić“ — powiedziała pani. — „Przyjdź po południu tu do mnie, będę robiła porządek w gabinecie przyrodniczym, to ci pokażę i wytłumaczę“.

To było bardzo trudne i bardzo ciekawe. Franek dowiedział się o mikroskopie i o lunecie, przez którą astronomowie patrzą na gwiazdy. Kiedy wrócił do domu wszystko sobie tak zapisał w swoim notesie:



Pozytyw



Negatyw

Żeby zrobić mikroskop trzeba mieć przynajmniej 2 soczewki. Jedna musi być mała, bardzo wypukła, o bardzo krótkiej ogniskowej. Nazywa się ona obiektyw.

Druga jest większa, bardzo płaska, ma dłuższą ogniskową i nazywa się okular.

Maleńkie przedmioty, które chcemy obejrzeć, kładziemy na szkiełku pod obiektywem tuż za ogniskiem obiektywu.

(Dokończenie nastąpi)